1923 r. MARZEC № 5.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI

Dwutygodnik łowiecki pod redakcją JULJANA EJSMONDA.

Kalendarz myśliwski: W marcu wolno polować na cietrzewie, dropie, pardwy, ptactwo błotne i wodne, słonki.

Redakcja Warszawa, Szpitalna 1 m. 1. Administracja: Szpitalna 12 (w „Kurjerze Polskim"). Redaktor przyjmuje we wtorki od 4½ do 5.

Cena pojedyńczego egzemplarza 1000 Mk. — Prenumerata miesięczna 2000 Mk. Na prowincji — 2400 Mk. Odnoszenie do domu od egzemplarza — [illegible] mk. Egz. w oddzielnej prenumeracie—zbroszurowane, na lepszym papierze.
Prenumeratorzy „Kurjera Polskiego" otrzymują „Przegląd Myśliwski" bezpłatnie, jako dodatek.
Cena ogłoszeń: strona — 400.000. ½ strony — 200.000, ¼ strony — 100.000.

Uwagi do „Projektu ustawy łowieckiej".

W zimie 1921-22 roku wydane zostało zarządzenie, wzbraniające zupełnie polowania na głuszce w całej Polsce. Zarządzenie to zastanowiło mię mocno. W przeprowadzeniu go znać dobrą chęć zaradzenia złu, panoszącemu się u nas coraz szerzej, jednak jego ryczałtowość bez zwiększenia sposobów kontroli i wymiarów kary robi wrażenie wielkiej dorywczości, a także niewnikania wgłąb sprawy. Rzucę tu kilka uwag o głuszcu, które, jak sądzę, będą miały zastosowanie i do wszelkiej innej dzikiej i mniej dzikiej, a zawsze lubiącej spokój zwierzyny.

Zwierzostan głuszcowy i sposób jego reagowania na różne przejawy ludzkiego sąsiedztwa zbadałem dokładnie w północnej Białej Rusi, nie zwróconej, niestety, dawnej macierzy — Polsce przez traktaty pokojowe. Znałem tam rozległe tereny, należące do wielkich majątków, a także i takie, które były wspólną własnością całej gminy włościańskiej.

Na terenach dworskich głuszców było bez porównania więcej, pomimo nielitościwego tępienia przez upoważnioną i nieupoważnioną do tego służbę leśną i wszystkich okolicznych nemrodów, tępienia, kończącego się nieraz rozpędzeniem całego tokowiska. Wiadomy mi jest fakt, gdzie gajowy w sezonie wiosennym strzelał na jednem tokowisku do 24 głuszców, zabił coprawda tylko parę, bo lichą miał strzelbę. Nie przeszkodziło to głuszcom na następną wiosnę utworzyć nowe tokowisko na błocie leśnem o parę kilometrów od pierwszego, jeszcze bodaj lepsze, gdyż grało tam na przestrzeni około 500 ha trzydzieści parę kogutów.

W lasach gminnych natomiast rzadziej spotkać można było kmiecia, wałęsającego się z jednorurką, a jednak wspaniałe knieje puste były, najpiękniejsze błota leśne, usiane głuszcowemi „ostrowkami", milczały, jak zaklęte.

Przyczyną tego był obyczaj gminny wspólnego pasania bydła po lasach. Wczesną wiosną cała „puszcza" dzielona była na tyle części, ile wsi ją otaczało, i do późnej jesieni tratowana przez liczne stada bydła z nieodzowną czeredą pastuszków i psów. Ginęła w tym potopie większość gniazd ptasich z jajami, a często i ze starką, psy wyławiały pisklęta, a leśne pożary, od ognisk powstałe, dopełniały zniszczenia.

Podobne obyczaje wkradają się niestety obecnie na Polesiu, z tą różnicą, że nie na podstawie prawa własności, ale obyczajem lennym lub dzierżawnym, a nieraz i prawem kaduka. I to w znacznej mierze wpływa na tragiczne zmniejszanie się zwierzostanu, zarówno głuszcowego, jak i wszelkiego innego.

Wstrzymanie łowów na głuszce, albo nawet zamknięcie wogóle polowania i celowa a skuteczna, ostra walka z kłusownictwem nie zaradzi w zupełności złemu tam, gdzie dotychczas tkwi dawny, albo zakorzeniony od czasów „swobody" zwyczaj pasania po lasach bydła bez kontroli, czyli swobodnego hasania gromady pół-dzikich chłopców z przemyślnemi pod względem myśliwskim kun-

dlami, z których niejeden ma w sobie dziedziczną krew dawnych psów łowczych.

Dobrzeby więc było, mojem zdaniem, w ustawie łowieckiej opracować i dodać paragraf, uniemożliwiający, albo przynajmniej normujący pasanie bydła na zarejestrowanych okręgach łowieckich.

Paragraf taki mógłby brzmieć krótko: każdy leśny, albo łąkowy okrąg łowiecki powinien wydzielić obszar, równający się conajmniej połowie całości okręgu, zawarty w jednej albo najwyżej w dwóch połaciach, w którym to obszarze bezwzględnie wzbronione jest przez rok okrągły pasanie bydła.

Właściciel okręgu łowieckiego, pomimo swej dobrej w kierunku ochrony zwierzyny woli, oplątany siecią praw i zwyczajów, niezawsze jest w stanie sam na własną rękę przeprowadzić tę zmianę, zamknąć swój teren przed eksploatacją bliskich sąsiadów, eksploatacją, uważaną zwykle za zupełnie niewinną i nieszkodliwą. Jeżeli zaś ustawa będzie tego wymagać, to przeprowadzenie tej reformy będzie o wiele łatwiejsze i nie pociągnie niepożądanych sąsiedzkich kwasów.

Jak już wspomniałem, wprowadzenie takiego paragrafu wpłynęłaby dodatnio i na wszelką inną zwierzynę, potrzebującą, zwłaszcza w porze lęgowej, spokoju i miejsc zacisznych. Ciszy tej wymagają i boją się bydła, jak ognia, cietrzewie, ta czarna perła niższych łowów, zagnieżdżone w większości naszego kraju, jarząbki, rzadkie, niestety, pardwy, dające nieporównane polowania z wyżłem, a także kaczki i bekasy.

Włodzimierz Korsak.

Warszawa, 10 marca 1923 r.

Polowanie w Korei.

Było to w kwietniu 1913 r. W drodze powrotnej z Japonji zatrzymałem się na kilka dni w stolicy Korei, Seulu, aby złożyć wizytę hr. Terauczi, ówczesnemu wielkorządcy Korei z ramienia Japonji. — Uprzejmy dygnitarz, z którym łączył mię pewien stosunek z tytułu mego zainteresowania się Japonją i jej życiem gospodarczem, poinformowany o mojej żyłce myśliwskiej, zaprosił mię na polowanie na bażanty.

„Wybaczy Pan, że wobec mego niedołęstwa“— hr. Terauczi miał prawą rękę przestrzeloną i bezwładną — „odstąpię rolę gospodarza komuś z młodszych“.

Roli tej podjął się p. K., kuzyn generał-gubernatora, człowiek młody, szybko posuwający się po drodze dostojeństw, a uprzedzająco uprzejmy i gościnny.

Polowanie miało się odbyć w górach, o kilkadziesiąt kilometrów od Seulu. Wczesnym rankiem doczepiono nasz wagonik do pociągu i ruszyliśmy w bok od szlaku głównego, zapuszczając się coraz bardziej wgłąb kraju, zachowującego tu jeszcze w całej pełni te cechy, które mu dały nazwę „kraju spokoju porannego“.

Po szerokich rozlewach wiosennych brodziły liczne żórawie i bociany, czczone tu, a więc nie niepokojone. Na pustych o tej porze polach ryżowych widniały zrzadka biało postacie krajowców, przeczyszczających kanały irygacyjne; nad bystremi potokami grupy biało również ubranych kobiet prały bieliznę; z suchym klekotem obracały się na wodzie młynki do łuskania ryżu.

Spokój w naturze, cicha praca, łagodne barwy harmonizowały z pogodnym rankiem wiosennym i chciało się wierzyć, że w całym tym kraju „spokoju porannego“ panuje istotnie pogoda i spokój...

Po pewnym czasie kolej zaczęła wspinać się w górę i otoczyły nas dość wysokie wzgórza o łagodnych wzniesieniach, pokryte rzadkim lasem.

„Zbliżamy się do terenów myśliwskich“—objaśnił p. K. „Aby czasu nie tracić na śniadanie na miejscu, pozwolą panowie służyć sobie skromnem „beuto“.

Beuto—jest to śniadanie, sprzedawane w zgrabnem opakowaniu drewnianem na wszystkich większych stacjach kolei japońskich, co przy braku restauracji stacyjnych jest bardzo dogodne, zwłaszcza przy podróżach dłuższych.

Nasze beuto składało się z dwóch skrzynek: jednej z ryżem gorącym i drugiej z przekąskami zimnemi; rodzaj jajecznicy, ciasto z mąki bobowej, nieco marynowanych jarzyn i jako ustępstwo dla europejczyka — kawałek rostbeafu. Na wety podano doskonałą marmoladę z kasztanów w ładnem opakawaniu z przeciętego na dwoje bambusu.

Wysiedliśmy na małej, zatraconej w górach stacyjce. Zbudowana wraz z całą kolejką już po zajęciu Korei przez Japonję, posiadała ona charakter czysto japoński. Japońskim był też mały hotelik, gdzie nas ulokowano. W pewnej dopiero odległości od stacji widać było wieś koreańską, złożoną z kilkunastu chat o ścianach z gliny, z dachem słomianym, umocnionym sznurami przed częstemi tu wiatrami.

Po przebraniu się, zarzuciliśmy strzelby na plecy i wyruszyliśmy za przewodnikiem w góry. Dwaj tragarze-koreańczycy nieśli za nami kosze z wiktuałami. Wązka ścieżyna biegła zboczem wąwozu, w dole którego szumiał potok, wezbrany

wodą wiosenną. Od stromej ściany zwisały ku nam pęki różowych, liljowych azalij, będących w pełni rozkwitu. Wśród bezlistnych jeszcze drzew grupa wisien, okrytych białoróżowem kwieciem, czyniła zdala wrażenie słonecznego obłoku.

Im wyżej wspinaliśmy się w górę, tem roślinność stawała się uboższą. Szczyty wzgórz pokryte były karłowatą dębiną z oddzielnie stojącemi sosnami o rozłożystych konarach oraz gęstem poszyciem z traw. Tu właśnie miały się znajdować bażanty. Istotnie, po przejściu zaledwie kilkunastu kroków, z pod nóg przewodnika porwał się z charakterystycznym trzaskiem skrzydeł wspaniały kogut, połyskując w słońcu złoto-czerwonem upierzeniem.

Stosownie do wskazówek jednego z towarzyszących nam japończyków, zawołanego myśliwego i znawcy terenów miejscowych, podzieliliśmy się na trzy partje. Dwie pierwsze partje ruszyły naprzód, a mnie z przewodnikiem i z jednym z tragarzy pozostawiono na miejscu. Myślałem narazie, że będzie to rodzaj naganki, do którego to przypuszczenia uprawniała mię okoliczność, że nie mieliśmy z sobą psa. Opatrzyłem więc strzelbę i czekałem cierpliwie. Wkrótce jednak dość gęste strzały przedemną przekonały, że się myliłem. Skinąłem więc na moich towarzyszy i ruszyłem naprzód. Strzały ciągle się powtarzały — widocznie polowano tam w najlepsze, ale ja ptaka nawet nie widziałem — spłoszono już je widocznie przy przejściu. Zdwoiłem więc kroku i wreszcie dopędziłem kilku panów z pierwszej partji.

Powitano mię radośnie, „Doskonale idzie polowanie, mamy już pięć bażantów dla pana!“ Okazało się, że zrozumiano polecenie zorganizowania dla mnie polowania w ten sposób, iż ma być mi dostarczona największa ilość zwierzyny — bez narażania mię na trud i fatygę!

Cała pasja, którą chciałem wyładować na sprawcach zawodu, musiała ustąpić wesołości wobec tak dobrodusznie ujawnionej naiwności gorliwych wykonawców. Wytłómaczyłem, o co mi istotnie chodzi i ruszyłem dalej naprzód sam z przewodnikiem.

Bażantów było istotnie dużo. Pomimo braku psa, wypłaszaliśmy co chwila ptaka z gęstej trawy, a choć z uwagi na czas wiosenny strzelałem tylko do kogutów, pukaniny było sporo. Gorzej było ze zbieraniem zwierzyny. Wysoka trawa i gęste zarośla dębowe utrudniały ogromnie poszukiwanie postrzałków, a brak psa uniemożliwił zupełnie tropienie zbarczonej tylko zwierzyny.

Na odgłos strzałów zjawił się wkrótce jeden z japońskich myśliwych z drugiej partji i począł znów „uprzejmie“ wyprzedzać mnie, strzelać i znosić bażanty. Nie mogąc rozmówić się z nim, odebrałem mu strzelbę i oddałem przewodnikowi. Zdetonowany i nic nie rozumiejący o co chodzi stał poczciwina w miejscu i słuchał w osłupieniu mego polskiego wymyślania.

Pogodziliśmy się z nim przy śniadaniu, przepijając do siebie gęsto gorącem „sake“—japońską wódką z ryżu.

Ponieważ na rozkładzie mieliśmy około 20 bażantów, a chodzenie po górach w upał zmęczyło wszystkich, zaniechaliśmy po śniadaniu — zresztą dość późnem — dalszego polowania. Z rozkoszą siedziałem w cieniu sosny na zboczu wysokiego wzgórza, ciesząc wzrok ślicznym widokiem krajobrazu tak odmiennego od naszych polskich równin, a strojnego o tej porze w całą krasę wiosny wczesnej a kwietnej. W drodze powrotnej dostarczył nam jeszcze sensacji lis, którego wypłoszył na nas chłop koreański, prowadzący z gór w dolinę byka, objuczonego gałęźmi na opał. Rudy zbój przemknął wzdłuż całej linji strzelców, jakby naigrawając się z naszych pożądliwych, bezsilnych wobec rozładowania strzelb, spojrzeń.

W hoteliku przy stacji, małym lecz schludnym, czekano na nas z obiadem. Przedtem jednak uprzejma Sutsume-san (po polsku — panna Wróbel), młoda i wesoła „musme“ miejscowa (służąca), zaproponowała wzięcie kąpieli. Chętnie się zgodziłem, bo chodziliśmy dużo, a dzień był upalny. Przy czynnej pomocy energicznego „Wróbelka“ rozebrałem się szybko do koszuli, na którą narzuciłem podane mi kimono i poprzedzany przez przejętą swoją rolą instruktorki dziewczynę, zszedłem na dół do łazienki.

W małym pokoiku stała beczka z wodą zimną i wmurowany w piec kocioł z wrzątkiem. Przyzwyczajony w dużych hotelach Japonji do większego komfortu, stałem niezdecydowany, nie wiedząc w czem i jak mam się tu kąpać. Ale Sutsume-san niecierpliwiła się. Ściągnęła zręcznym ruchem kimono ze mnie i dała mi gestami do zrozumienia, iż mam zdjąć koszulę. Wahałem się chwilę, ale ostatecznie — zrzuciłem koszulę i, narażając się na oparzenie, wskoczyłem do kotła.

Nic z tego. Panna Sutsume zaprotestowała gorąco przeciwko takiemu pogwałceniu ustalonego, widocznie, porządku i trzepiąc coś po japońsku, wyciągnęła mię przemocą z kotła. Przypomniałem sobie, że na prowincji, w zapadłych kątach Japonji, istnieje dotąd zwyczaj pełnienia przez kobiety zabiegów kąpielowych w stosunku zarówno do kobiet, jak i mężczyzn. Aby się nie narażać na dalszą śmieszność, musiałem poddać się temu zwyczajowi i oto stałem posłusznie przed Sutsume-san, która z całem przejęciem mydliła mię, polewała kolejno to ciepłą, to zimną wodą, i dopiero tak dokumentnie wymytemu pozwoliła wejść do kotła — wanny.

Po wyjściu z łazienki, która mi sprawiła zresztą prawdziwą przyjemność, musiałem jeszcze poddać się przepisowemu masowaniu nóg i rąk, co panna Wróbel dokonała również bardzo sprawnie, a co orzeźwia nadzwyczajnie po przeforsowaniu fizycznem.

Jak smakował mi po tem wszystkiem obiad— łatwo zgadnąć, zwłaszcza, jeżeli się zważy, że przygotował go „sam“ kucharz Jego Ekscelencji, specjalnie z nami przybyły, że jadłospis zawierał conajmniej piętnaście dań, mieszczących się zresztą na dwu niemieckich tacach z laki, i że siedząca przedemną na własnych piętach Sutsume-

san dolewała gorliwie do minjaturowych czareczek porcelanowych doskonałe „sake“.

Cudowny, ciepły wieczór, spędzony przy rozsuniętych „sjodżi“ — ruchomych ściankach domu, oklejonych papierem — z widokiem na oświetlone księżycem góry, monotonny, a jednak miły dla ucha odgłos cykad, głuszony chwilami przez szum niezliczonych stad gęsi dzikich i kaczek, płynących wysoko w górze na północ — zakończyły harmonijnym akordem ten miły dzień polowania, spędzony w tak odmiennych od zwykłego otoczenia warunkach.

J. Gieysztor.

Na jelenie.

Jesień była przepiękna. Oczarowani, zaszliśmy głęboko w góry, do miejsc, gdzie zda się, noga ludzka nie postała. Rozłożyliśmy obóz nad małym strumyczkiem w kotlinie, porosłej gęstym zwartym lasem, przechodzącym wyżej w połoniny. W obozowisku tem spędzaliśmy razem kilka godzin południowych, gotując strawę, a później drzemiąc na posłaniu z gałęzi świerkowych, ukołysani szklanym szeptem strumyka, dzwoniącego wciąż jakąś nikłą melodję, tak nieuchwytną, jak wspomnienie śpiewu piastunki nad dziecięcą kołyską.

Przed wieczorem rozchodziliśmy się w dwie przeciwne strony, pnąc się ku otwartym połoninom, kędy o zmroku wychodziły na rykowisko jelenie. Dni leciały nam szybko, beztroskie, wyzłocone bladem jesiennem słońcem.

Pewnego wieczoru, wyszedłszy na haliznę wcześniej niż zwykle, ujrzałem na miejscu, odartem z darni, trop jeleni, wielkości tak poważnej, że drżenie mimowolne przeleciało mi po krzyżu, jak iskra elektryczna, z mózgu wysłana. Tu widocznie wychodził ryczeć ten potentat leśny, tu więc należy go czekać. Kaprysy jednak nie są widać wyłącznością ludzką, gdyż napróżno przesiedziałem w pobliżu do północy prawie. Już późny księżyc wyłonił z za gór swą twarz krzywo wydętą, a cisza dzwoniąca w uszach panowała wciąż niepodzielnie. Wydobywszy z plecaka kołdrę, owinąłem się w nią i położyłem u stóp ostatniego drzewa; wyżej szły już połoniny, dyszące teraz aromatem przywiędłych traw górskich.

Nie było jeszcze najmniejszej oznaki zbliżającego się świtu, gdy ocknąłem się nagle z drzemki pod wpływem jakiegoś głosu. Wytężyłem słuch. Niby poważny głos basowych rur organu spłynęły znów ku mnie grzmiące dźwięki, odbijane stokrotnem echem. Wyżej na połoninach ryczał jeleń! Wsłuchując się uważniej, stwierdziłem, że głos nie przypływa wprost ku mnie, że się gdzieś po drodze łamie i roztrąca. Śmiało więc piąć się zacząłem po gładkiem trawiastem zboczu, usianem dużemi, ostrokańciastemi głazami i zalanem zielonkawem, zawodnem światłem księżyca.

W pewnym momencie, obróciwszy się w tył, ujrzałem na krańcu doliny, odkrytej obecnie dla wzroku, słaby odblask jutrzenki. Kierując się wprost na głos, stanąłem wkrótce na małej przełęczy, poza którą zaczynał się spadek ku innej dolinie. Teraz wyraźniej i wprost ku mnie buchnęły z dołu grzmiące dźwięki, niezbyt już dalekie. Zwolna powietrze nasiąkało bladem światłem, z dołu od zasnutej lekkim oparem doliny pociągnął słaby wietrzyk, zacząłem więc schodzić po pochyłości i niebawem dotarłem szczęśliwie do pierwszych drzew. Teraz należało podkradać się dalej. Zadanie to było niełatwe, gdyż czujny zwierz mógł mię z dołu z łatwością spostrzec na tle nieba. Jednak jeleń był jeszcze daleko, i te właśnie opary ratowały sytuację. Raptownie ryki ucichły; stałem pod drzewem jak skamieniały, wpatrzony w ciemniejącą podemną gęstwę lasu. Coś furknęło z tyłu; obejrzałem się mimowoli i dopiero wówczas uświadomiłem sobie, że jest już dzień zupełny, a ku górze, na tle wschodu, widzieć można każdy najdrobniejszy szczegół. Zacząłem tracić nadzieję.

A wtem znów akord tak potężny, że aż ziemia pod nogami zadrżała, jak od huku armatniego. Bliżej i bardziej z boku. Idą ku przełęczy, a więc przeciąć im drogę! Korzystając z drzew równoległych, zacząłem zwolna posuwać się naukos, starając się przebić oczyma lekkie, zwiewne mgiełki, ciągnące ku górze z doliny.

Wtem zamajaczyło coś wprost przedemną. Stanąłem, trzymając sztucer przy twarzy. Chwila jak wiek długa, lecz oto powiew zwiał pasemko oparu i na haliźnie przed sobą ujrzałem stado, złożone z piętnastu sztuk conajmniej. Zgrabne łanie, wyciągając szyje, patrzały wprost na mnie, stojącego nieruchomo w odległości niecałych stu kroków. Dwie czy trzy stały w kupie, a nad niemi widać było potężny wieniec rogów — chytry byk stał bezpiecznie schowany za żywym murem, ze wzniesioną dumnie głową. Widocznie jednak stado było niepłoszone dawno już, a może wcale człowieka nie widziało, a postać moja nieruchoma, jak z kamienia wykuta, więc po długiej chwili najbliższe sztuki zaczęły się ruszać i oglądać. Lecz oto napłynęła znów smuga mgły lekkiej, przesłaniając na chwilę wlepione we mnie niespokojne oczy. Skorzystałem z tej chwili, by runąć jak długi w trawę, gdzie, oparłszy się na łokciach, wziąłem swą broń do twarzy. A tymczasem ruch

się wszczął w stadzie i, gdy przestrzeń znów się oczyściła, ujrzałem je już idące zwolna naukos odemnie. Teraz byk był z tyłu, w odległości półtorasta kroków i w pewnej chwili zwrócił się do mnie pełnym bokiem. Buchnął strzał, zahuczały kopyta, jak lawina z góry pędząca, i przez zwał dymu ujrzałem całe stado w szalonej ucieczce.

Jeszcze raz zamajaczyły mi na przełęczy rozkołysane susy i znikły. Wyskoczyłem poza obręb dymów—nic! przestrzeń przede mną pusta! Niebawem znalazłem się na śladzie i po chwili z drżeniem serca spostrzegłem małą kroplę krwi na źdźble trawy. W dziesięć minut stanąłem na przełęczy, w miejscu, gdzie mi stado z oczu znikło. Krwi coraz więcej, i raptem aż dech mi zaparło ze wzruszenia—tuż za ogromnym głazem leży on, królewski zwierz, zwalony na miejscu w ostatnim śmiertelnym przez kamień skoku!

Włodzimierz Korsak.

HODOWLA PSA W ŚWIETLE HISTORJI.*)

Gdy patrzymy na psa, tego wiernego i oddanego towarzysza człowieka, który, jak żadne inne zwierzę, przywiązuje się do swego pana, gdy widzimy u niego objawy rozumu i inteligencji, trudno sobie uprzytomnić, że praojcowie tego naszego przyjaciela i towarzysza żyli, podobnie jak przodkowie koni i bydła, w dawnych, zamierzchłych czasach w stanie dzikim, jako drapieżniki i nieprzyjaciele pierwotnego człowieka. Trudno sobie wyobrazić, że dopiero w niewoli został pies ułaskawiony, że zamienił się dopiero stopniowo w przyjaciela, towarzysza polowań, sługę, pastucha i stróża, a w niektórych odmianach nawet w wypieszczonego, grymaśnego ulubieńca pań.

Podczas, gdy w Europie mamy jedynie psy oswojone, jako zwierzęta domowe, spotykamy odmiany dzikich jego krewnych jeszcze dziś w Indjach, Azji, Japonji i Afryce, a próby ułaskawienia ich i uszlachetnienia naturalnych ich zalet i zdolności uwieńczone są świetnemi rezultatami.

Śledząc rozwój psa od najdawniejszych czasów, spotykamy zrazu jedynie kilka odmian rasowych, których z biegiem czasu powstaje coraz to więcej. Zależnie do indywidualnych cech poszczególnych ras, zostają one szkolone i używane do specjalnych celów. Zawdzięczamy temu dzisiejszą różnorodność odmian, odznaczających się indywidualnemi cechami, jak n. p. psy myśliwskie, policyjne, pasterskie, gończe, a nawet pokojowe, hodowane wyłącznie dla zabawy i rozrywki.

* * *

Jak daleko pomniki historji pozwalają nam wniknąć w mgłę przeszłości, spotykamy już wszędzie psa jako zwierzę domowe, przywiązane do człowieka, a z drugiej strony wszystkie ludy, począwszy od najdawniejszych, doceniają w zupełności zdolności i zalety swego wychowanka, darząc go pełnem uznaniem i troskliwością.

Egipcjanie przekazali nam w pomnikach piśmiennictwa drogocenne dokumenty o historji psa, a hieroglify, najstarsze znane nam pismo, zawiera jako znak pisarski rysunek psa. Udowodnionem jest, że Egipcjanie znali już kilka odmian rasowych, a posługiwali się psem w pierwszym rzędzie do celów myśliwskich.

Jak bardzo psy były przez Egipcjan cenione, świadczą o tem mumje psów, znalezione w grobowcach, oraz fakt, że za zgładzenie psa prawodawstwo ówczesne karało winnego śmiercią.

Dawni Persowie otaczali psa czcią niemal religijną, widząc w nim uosobienie dobrego ducha, w przeciwieństwie do wilka, będącego w ich pojęciu wcieleniem złego. W księgach religijnych dawnych Persów znajdujemy następujące zdanie: „Psa stworzyłem, o Zoroastro, dając mu ostre zmysły i zęby, by stał się własnością mężczyzny i stróżem jego domostwa". O Ramzesie podaje historja, że pies jego odniósł zwycięstwo nad dwoma ludźmi, a Kserksesowi towarzyszyły w czasie wojny dwa dzikie psy bojowe.

Święta księga Hindusów „Veda" wspomina, że Aryjscy przybysze już około 3000 lat przed Chrystusem hodowali psy. Także w starożytnej historji Assyryjczyków znajdujemy wzmianki o psach, używanych do polowania.

U Greków i Rzymian był pies przedewszystkiem używany do boju i polowania i cieszył się wielkiem uznaniem.

U nich to spotykamy poraz pierwszy gatunki psów hodowanych dla samego sportu, jak również różne nowe gatunki, sztucznie uzyskane przez krzyżowanie ras.

Homer opiewa w swej „Odyssei" wierność i przywiązanie psa. Bohaterom greckim towarzyszą psy w walkach. Aleksander Wielki założył na pamiątkę swego ulubionego psa „Peritasa" miasto. Ksenofont, pisarz o głębokiej znajomości nauk przyrodniczych, przekazał nam obszerne dzieło o psie p. t. „Kynegetykus" (400 przed Chr.). Arystoteles (384—322 przed Chr.) wylicza pięć gatunków psów. Jak wysoką była już wówczas

*) Według dzieła F. Bergmillera pt. „Nasze psy".

cena pięknego psa, świadczy fakt, że Alcybiades w piątym wieku przed Chrystusem kupił psa, według dzisiejszej waluty za 5.000 franków. W mitologji greckiej odgrywa pies wielką rolę. Powszechnie znany jest „Cerber", stróż piekieł. Na cześć różnych bogów składano w ofierze psy.

Strebel, przyrodnik niemiecki zwraca, uwagę na to, że z biegiem czasu coraz to bardziej wzrasta, a w końcu przeważa ilość psów mieszanych i równocześnie powstają rozmaite nowe odmiany. Już u Rzymian widzimy o wiele więcej gatunków niż u starych Egipcjan.

Także w dawnej Ameryce spotykamy psa już w najdawniejszych czasach, o czem świadczy fakt znalezienia w mogiłach starych Inkasów w Peru dziesięciu ciał psów, dobrze zabalsamowanych.

* * *

W Europie odnaleziono w wykopaliskach z epoki kamiennej kości psów obok skamieniałych szkieletów jeleni i innych zwierząt.

Jak już wspominałem, spotykamy, pod wpływem rozwoju kulturalnego ludów, psa nie tylko jako towarzysza myśliwego, ale także jako stróża domostwa i trzód, co powoduje hodowlę i rozwój osobnych ras.

W średniowieczu ceniono psa dla jego pożytecznych zalet niemniej jak w starożytności, co znów spowodowało konieczność specjalnej ochrony ustawą przewidzianej. Prawodawstwo germańskie (VII w. po Chr.) wyznacza wielką karę za zabicie psa owczarskiego. Według tego samego prawa zostaje kradzież psów o wiele ostrzej karaną, niż kradzież koni lub bydła. Posiadanie rasowych psów świadczyło o bogactwie właściciela, więc sprowadzano dobre psy myśliwskie za bardzo wysoką cenę z dalekich stron. Dwory ofiarowywały sobie nawzajem rasowe psy w podarunku, co uważano za dar nader hojny.

Od wieku XVI-go, kiedy to prawo polowania stało się wyłącznym przywilejem królów i książąt, zakwitło łowiectwo jako rzemiosło rycerskie, wysoce cenione. Czas ten jest zarazem najświetniejszym okresem hodowli psów, na uszlachetnianie których kładziono silny nacisk, a utrzymywanie psów stało się formalnym luksusem. Książęta posiadali nieraz tak wielkie sfory, że w zamkach pomieścić ich nie mogli, więc nakładali na swoich poddanych obowiązek utrzymania i hodowli, tworząc w ten sposób osobne obozy psów, dozorem których obarczano najchętniej klasztory. (Czasy Karola Wielkiego). W roku 1382 nałożono na poddanych osobną daninę, t. zw. „psie zboże", celem żywienia sfor dworskich.

W tym czasie powstają różne odmiany ras, przeznaczone każda do innego rodzaju polowania.

Po tak świetnym okresie dla myśliwstwa hodowli psów następuje na dłuższy czas zastój, który się kończy dopiero z chwilą nastania polowania par force. Rodzaj ten polowania wprowadzony został około r. 1620 po raz pierwszy we Francji. Stamtąd przeniesiony został do Anglji, skąd znów powędrował przez Niemcy do innych krajów.

Królowie francuscy wysoce cenili hodowlę psów, sprowadzając rzadkie okazy z innych krajów. Przedewszystkiem sfora Ludwika XV słynęła na całą Europę.

W wieku XIX powstają w południowej Francji osobne targi na psy myśliwskie.

* * *

Historja psa domowego, jako towarzysza człowieka przy codziennych jego czynnościach, nie sięga tak dalece w przeszłość, jak historja psa myśliwskiego. Pierwszym jego zawodem było pilnowanie domostwa i mienia. Jednak bardzo wcześnie już zwracano uwagę na zalety umysłowe psa, umożliwiające mu być nie tylko sługą, ale i towarzyszem. Według zdania badaczy stał się pies pomocnikiem w codziennych pracach i towarzyszem człowieka od 10 tysięcy lat. Od tego czasu staje się pies człowiekowi formalnie niezbędnym, rozpoczyna się racjonalna hodowla poszczególnych ras, z czego w końcu wyradza się osobny sport.

Już od najdawniejszych czasów odznaczali się Anglicy szczególnem zamiłowaniem do hodowli psów, w pierwszym rzędzie myśliwskich. Polowanie samo natomiast miało w Anglji zawsze charakter odrębny. Jako najbardziej rozpowszechnioną metodę polowania uważają t. zw. „hunting", polegający na szczuciu psa na zwierzynę. Pies odgrywa na polowaniu rolę główną, zwierzyna zaś jest rzeczą uboczną.

Bezwątpienia wywierał przykład Francji w hodowli i rozpowszechnianiu psa domowego i pokojowego decydujący wpływ na cały świat cywilizowany. Tam stała się hodowla psów przedewszystkiem w XIX wieku ulubionym i szeroko rozpowszechnionym sportem. Tam powstały pierwsze gatunki psów skarłowaciałych. Później dopiero znaleziono podobne sztuczne odmiany także w Chinach i Japonji.

W Anglji, właściwej kolebce tego sportu, zajmują się prócz hodowli psa myśliwskiego namiętnie tresurą wszystkich innych rodzajów psów i nigdzie, z wyjątkiem może Ameryki — nie płaci się tak wysokich cen za psy luksusowe, jak właśnie tam.

Dziś znajdujemy na całym świecie cywilizowanym psy o czystej rasie. Począwszy od biednego człowieka, skończywszy na głowach ukoronowanych, spotykamy wszędzie tysiące miłośników najwierniejszego zwierzęcia domowego, a ilość ich stale wzrasta.

Paweł Zagórowski.

i księgarni, w których można zaopatrzyć się w poszukiwane książki.

Cześć myśliwym!

Łowczy i Inspektor lasów państwowych

M. Tittenbrun.

W myśl powyższego prosimy P. P. Właścicieli Księgarń posiadających na składzie jakiekolwiek książki myśliwskie polskie lub cudzoziemskie, o zawiadomienie nas w najbliższym czasie, jakie dzieła myśliwskie mają do nabycia.

Z cenniejszych dzieł zwracamy uwagę Sz. Zarządu Włocławskiego Oddziału Polskiego Związku Myśliwych na „Rok Myśliwego" i „Na tropie przyrody" Włodzimierza Korsaka, najznakomitszego dziś pisarza myśliwskiego w Polsce.

Pozatem w każdej większej bibljotece myśliwskiej znaleźć się powinny następujące książki: W. Stephana „Kuropatwa", „Sarna", „Zając pospolity"; Głodkiewicza „Polowanie z wyżłem", Oreńskiego „Głuszec", Steinmeistra „Żywienie sarn i jeleni", Dombrowsky'ego „Myśliwy, jako kolekcjonista", Biesiekierskiego „Kuropatwa", Sylva-Tarouca „Hodowca a myśliwy" oraz Hilfreicha „Pies zdrowy i chory". Miłośników egzotycznych łowów zainteresują „Notatki myśliwskie" hr. Potockiego z Indji i Dalekiego Wschodu.

Najobficiej zaopatrzoną w Warszawie w dzieła myśliwskie jest księgarnia Wendego (Ignis) Krakowskie-Przedmieście № 9.

* * *

P. Jan Zaberowski (maj. Brody, powiat stopnicki, ziemia Kielecka) przesyła nam list następujący:

„Przed wojną byłem stałym prenumeratorem „Łowca Polskiego"; po skończeniu wojny, ubolewałem, że podobnego pisma niema. Przypadkiem wpadł mi dziś Nr. 1 pisma poświęconego sprawom myśliwskim p. t. „Przegląd Myśliwski". Z niepomierną radością witam to pismo i zapisuje się jako stały jego prenumerator. W Nr. 1, jaki posiadam, „Przeglądu Myśliwskiego", czytam o walce z kłusownictwem na śmierć i życie. Spotykam tam prośbę, by myśliwi przyczynili się do szerzenin kultury myśliwskiej i do zwalczania bandyckiego kłusownictwa, które zagraża dziś zwierzostanowi całej Polski. Rzecz bardzo ciężka, ale, że nie ma nic na tym świecie niemożliwego, miejmy więc błogą nadzieję, że i wysoki Sejm, na czele którego stoją ludzie światli, musi nam pomóc—jeżeli do Niego, wołać i błagać będziemy: „Ratujcie, panowie póki czas zwierzostan polski".

Czterdzieści lat dzierżawię obok mojego gospodarstwa rybnego, wszystkie pola mieszczańskie i włościańskie, razem około 5,000 morgów. Mieć własności 10, 20, i 30 tysięcy mórg i na tej przestrzeni zabić dajmy na to 500—600 zajęcy dziennie, to nic wielkiego. Ale wziąć polowanie od właścian i na przestrzeni do pięciu tysięcy morgów, tam, gdzie zwierzyna cały rok boży jest niepokojona ciągłym ruchem w polu, boć jeden sieje, drugi obok włóczy, a trzeci i dziesiąty nawóz wozi, w takich warunkach i na tej minimalnej przestrzeni dojść do rezultatu, jaki osiągnąłem, 500 zajęcy dziennie, to sztuka nie myśliwego tylko, ale i opiekuna zwierzyny.

Doszedłem do tego rezultatu tylko ogromną opieką nad zwierzyną. I gdybym miał sąsiadów, którzyby brali również pola włościańskie w dzierżawę i nie zostawiali ich na pastwę losu, doszedłbym bardzo prędko do podwójnego rezultatu, mając tym sposobem ochronione boki.

Biorę tu na świadków moich gości myśliwych, którzy rok rocznie u mnie polują, jaki zwierzostan jest w sąsiedztwie mojem. Na polach, których nikt nie trzyma, a tylko polują na nich myśliwi niedzielni, na przestrzeni 3,000 m. biją od 7 do 8 zajęcy, przy udziale 10 myśliwych i stu naganki. Bronie tam nie tęgie, ale przy najlepszych broniach można tam dziś zabić 20 zajęcy. Lat temu 10 trzymałem ten teren i bito u mnie na tem samem polu 200 sztuk. Stan naszego myśliwstwa jest opłakany, i jeżeli całą siłą nie będziemy szturmować do wrót Sprawiedliwości, to zając u nas za lat parę będzie rzadkością.

Wojna się skończyła i niejeden myśliwy hodowca ucieszył się, myśląc, że zacznie się ład i porządek oczekiwany błogo i w myśliwstwie. Niestety w tym względzie nic naprzód się nie posunęło. Tępicielom zwierzyny wydają bilety na broń myśliwską. Niejeden, przeczytawszy tu moje słowa powie: „Kłusownik tępiciel a pan nie? Pan chce się bawić, zjeść zająca, a kłusownikowi nie wolno"? Trochę tu racji, ale we wszystkiem na świecie powinna być utrzymana miara. Myśliwy hodowca utrzyma tę miarę, ale kłusownik nigdy jej nie utrzyma.

A teraz słówko o samym sposobie polowania. Prawdziwy myśliwy wie o tem, że niema nic gorszego, jak polowanie na tak zwanego pomyka, bo wtedy wybija się same prawie samice, które z natury są leniwsze i więcej od samców dosiadują. Myśliwy hodowca brzydzi się takiem polowaniem, a urządzając u siebie większe polowanie, gdy naganka zbliża się do środka pola (mowa tu o polowaniu w kotłach), prosi sygnałem o zaprzestanie strzelania, bo wiadomą rzeczą jest, że wtedy najwięcej dosiadują samice. Ileż ich oszczędzi się tym sposobem?

No: a teraz proszę mi powiedzieć czy kłusownik utrzyma tę miarę? Nigdy! i jeszcze raz: nigdy!

Jeżeli chłop wziął dla otrzymania biletu na broń teren sto piędziesiąt morg, i powiedzmy tylko od października depce na pomyka, co na tem polu będzie w grudniu?

Za lat parę zające będą, ale tylko na fotografji.

Od czasu wojny powstał u nas w powiecie stopnickim zastraszający nowy sposób niszczenia zwierzyny przez wyrostków chłopskich (pastuchów). Chłop posiada kolonję z 6-iu do 12-tu morg. gruntu, na tej przestrzeni ma 2, 3 morg. ziemniaków lub łubinu, zbiera się 15-tu do 20-tu chłopaków (pastuchów), obstępują ten łubin, czy ziemniaki, w rękach mają kije okute, a okute dla ci żkości, w tej liczbie znajdują się psy kundle, prowadzone na sznurku. Gdy w takiem polu wyskoczy zając, obstąpiony dokoła przez 20-u chłopaków, wprawnych w rzut kijem, jeden go trafia kijem, a pies puszczony dogania. Świadkiem jestem że obławy tego rodzaju, odbywają się od pierwszego wypędzenia bydła w pole, a więc od połowy kwietnia do późnej jesieni, przeważnie w dnie świąteczne i to podczas nabożeństwa w kościołach. Te godziny dlatego wybierają, bo sądzą, że wtedy nie są strzeżeni. I znów proszę pomyśleć, ile zwierzyny w ten sposób ginie.

By nie dopuścić do zupełnego wyniszczenia naszej zwierzyny, widzę tylko jeden środek — zmienienie naszych przepisów łowieckich.

1. Pozwolenia na prawo polowania i broni wydawać tylko osobom, które przedstawią świadectwo, że są właścicielami lub dzierżawcami terenu myśliwskiego od 1000 morg.

2. Zabronić stanowczo polowania na pomyka.

3. Za przekroczenia myśliwskie karać nie grzywną, a bezwzględnie więzieniem od miesiąca.

4. Podnieść opłatę na broń i prawo polowania. Zwierzostan nasz nietylko uchronimy w tych warunkach od zupełnej zagłady, lecz niezadługo doprowadzimy go do pełnego rozkwitu.

Jan Zaborowski.

Dziękujemy za list, „Przegląd" wysłaliśmy i wysyłać będziemy. Należność za prenumeratę i za odesłanie wycinków potrącimy z honorarjum.

* * *

Centralny Związek Kółek Rolniczych. Wydawnictwo Poradnika Kółek Rolniczych skierowało do nas następujące pismo pana K. C. (powiat stołpecki).

„Mam dwie suki gończe — b. dobre do polowania na lisy, zające, kaczki; będę miał po nich po b. dobrym psie szczenięta. Proszę o radę, gdzie mógłbym znaleźć na nie nabywców".

Może który z czytelników „Przeglądu Myśliwskiego" zainteresuje się tą sprawą. Zapotrzebowania na szczenięta należałoby kierować do „Poradnika Kółek i Stowarzyszeń Rolniczych" Warszawa, Kopernika 30, parter, z powołaniem się na niniejszą notatkę.

* * *

P. Jan Stefan Wydżga. (Hrubieszów). Dziękujemy za cenne i świetne artykuły, które idą do następnych numerów.

*

P. Terpiłowski. (Mokotów). Dziękujemy za ciekawe materjały, zużytkujemy je w najbliższym czasie.

*

P. dr. wet. Piotr Boczkowski. Cenny artykuł umieścimy w przyszłym numerze.

Prosimy o dalszą współpracę.

*

P. gen. Bron. Grąbczewski. Redakcja „Przeglądu Myśliwskiego", szczęśliwą się czuje z pozyskania jako stałego współpracownika uczonego tej miary i tak światowej sławy, jak Pan Generał. Nie wątpimy że wspomnienia myśliwskie z Azji Środkowej, której Pan jest tak znakomitym znawcą i badaczem, zainteresują najszersze koła czytelników.

*

P. Roman Horoszkiewicz (Lwów) Dziękujemy za słowa uznania i za przesłany „Kurjer Lwowski" z tak życzliwą oceną naszej działalności. Dziękujemy rownież za obiecaną współpracę i oczekujemy na artykuły.

*

P. W. Żebrowski (Mszczonów). Stosując się do słusznej prośby Sz. Pana, wprowadzamy już w niniejszym numerze rubrykę o psach. W następnych numerach damy wskazówki dotyczące tresury psów myśliwskich.

Na inne pytania znalazł Pan odpowiedź w „Projekcie ustawy łowieckiej", drukowanym w Nr. 2—3 „Przeglądu Myśliwskiego"

*

P.P. Czytelnikom „Przeglądu", którzy zapytują nas o radę, gdzie kupować broń i przybory myśliwskie polecamy firmę „H. Sawicki i S. Czerski„ Warszawa, Królewska 31.

*

P. Ryszard Dobrzyński. Kochłowice pow. Katowicki (Górny Śląsk). Najlepszą szkołą myślistwa w znaczeniu teoretycznem jest zapoznanie się z piśmiennictwem łowieckiem „Przegląd Myśliwski" podawać będzie stale „Poradnik bibljograficzny dla myśliwych". W niniejszym numerze prosimy przeczytać odpowiedź naszą do Związku Myśliwych we Włocławku.

Dawne polskie prawo polowania i rybołówstwa.

W czasie, kiedy odbywa się dyskusja nad projektem ustawy łowieckiej i przejawia się pragnienie jaknajszybszego wcielenia jej w życie, by ocalały resztki zwierzyny, nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie dawne polskie prawo polowania i rybołówstwa.

Ustawa, która nie ma pozostać martwą literą, musi odpowiadać wymogom praktycznego życia, musi być zgodna z psychiką prawną środowiska, w którem będzie obowiązywać.

Sięgnijmy zatem w przeszłość, zapoznajmy się z tradycją dawnego polskiego prawa łowieckiego, które twardo stało na stanowisku ochrony zwierzyny, a w swych jaskrawych przejawach nie cofało się przed karą śmierci dla człowieka, za samowolne upolowanie zwierzyny.

Polowanie! O rozkoszy królów...

Było ono w Polsce przedmiotem regalu. Regalja w ogólności, to ograniczenia użytkowania ze względu na króla, który za ich pomocą rezerwował sobie pewne prawa. Nas interesują tylko w tym wypadku dwa gatunki regalij, które rozpatrzymy, mianowicie: regale polowania i regale rybołówstwa.

Dawniej własność gruntu nie była tytułem do polowania, bo prawo to przysługiwało jedynie królowi. Kto polował, dopuszczał się przestępstwa i był karany za to włamanie się w prawa królewskie. Dwa były rodzaje regalu polowania: polowanie wielkie, t. j. na grubego zwierza (żubry, tury, niedźwiedzie, dziki, daniele, jelenie, czasami kozły i sarny) oraz na bobry, i polowanie małe (venatio parva) (sarny, lisy, zające, kury). To ostatnie wraz z prawem łowienia ptaków posiadała lwia część szlachty. Wielkie natomiast jest rezerwowane dla dworu. W tym czasie polowanie jest nietylko przyjemnością, ale posiada swą wartość materjalną, a poniekąd znaczenie polityczno-społeczne. Król trzyma specjalną służbę, tak zwanych łowców. Przed każdą wyprawą wojenną buszowali oni po puszczach polsko-litewskich, ażeby zapewnić żywność rycerstwu. I kto wie, czy nie smaczne combry sarnie, a zwłaszcza wędzone szynki niedźwiedzie, nie dolewały ognia do krwi szlachetnej animuszem i zwycięzkim rozmachem. Jak z dokumentów wynika, miały miejsce masowe obławy przed wyprawą grunwaldzką.

Dzięki kolonizacji niemieckiej powstają przywileje na rzecz właścicieli gruntów. Prawo magdeburskie sprowadzało zawsze zwolnienie z praw książęcych. Wtedy już król nie mógł korzystać ze swego uprawnienia.

Wyłom w prawie króla rozszerza na swą korzyść szlachta i uzyskuje z początku małe, a następnie i wielkie polowanie. Długo jednak bobry i żubry rezerwowane są dla samego króla. W 18 wieku, kiedy zasadniczo regale polowania nie istniało, król mógł polować na każdym gruncie, naturalnie wspólnie z właścicielem, ale wyłączne prawo do polowania posiadał tylko w okolicy Warszawy w obrębie pasa 3-milowego.

Kiedy już ostatecznie szlachta uchyliła regale polowania, kwestja prawa polowania przechodzi na terytorjum wiejskie. W początkach chłopi mają prawo polowania małe, ale nie długo. Szlachta, która coraz bardziej obrasta w pierze, zaczyna włościan ograniczać na wiecach w Wielkopolsce i Małopolsce. Koroną tej akcji była uchwała z roku 1526, mocą której w Prusiech szlachcic konfiskuje wszelką broń, którą znajdzie u włościanina. W kronice Kadłubka w ustępie traktującym o Mieszku III skarży się autor, że chociaż niedźwiedź niszczy pola, nie wolno go zabijać, a ktoby śmiał, płaci 70 grzywien. Oczywiście, jeśli był to kmiotek, to o takiej sumie nawet marzyć nie mógł i przy ówczesnych stosunkach płacił gardłem.

Rybołówstwo cieszyło się w wiekach dawniejszych znacznym rozkwitem. Książę rezerwował sobie prawa do ryb. Często sam uprawnienie to wykonywał, Posiadał specjalnych ludzi, których obowiązkiem było łowienie i dostarczanie ryb drużynie książęcej na cele żywnościowe. Wskazują na to nazwy wielu wsi (Rybaki). Rybołówstwo wykonywane sieciami wielkiemi (np. niewodem) odróżnia dawne prawo polskie od rybołówstwa małego (piscatio parva). To ostatnie regalem książęcym objęte nie było. I tu, jak w prawie polowania, tracą stopniowo przywileje prawa królewskie. Najpierw jeziora i rzeki małe, a następnie stają się wolnemi od regalu rzeki spławne.

W konkluzji, dla ogólnej charakterystyki, przytaczam zdanie prof. Przemysława Dąbkowskiego, które dosadnie kreśli linję rozwoju prawa polowania. W rozwoju prawa polowania widoczne było dążenie w kierunku dwojakim: po I, aby własność prywatną uwolnić od regalu książęcego, po II-gie, aby z polowania *uczynić gałęź gospodarstwa przynoszącą wydatną korzyść* i usunąć szkodliwy pogląd, że polować wolno każdemu.

Henryk Funk.

Sprawy bieżące.

Prezydent Wojciechowski zainicjował państwowe Towarzystwo Łowieckie.

Prezydent Rzeczypospolitej powziął inicjatywę utworzenia państwowego Towarzystwa łowieckiego, mającego podlegać ministerstwu rolni twa i dó r państwowych. W tym celu zaprosił przedstawicieli zainteresowanych ministerstw na konferencję.

W naradach dotyczących polowań reprezentacyjnych w Białowieży i Spale oraz przyszłej Ustawy łowieckiej bierze udział p. Stanisław Lilpop, jeden z najlepszych naszych myśliwych, a zarazem jeden z najzasłużeńszych ludzi na polu podniesienia kultury myśliwskiej w Polsce.

Z malarstwa myśliwskiego.

W Salonie Sztuki Węgierkiewicza (Hotel Europejski) wystawiono ostatnio dwa wspaniałe obrazy myśliwskie Włodzimierza Korsaka p.t. „Toki cietrzewie“ i „Ciąg słonek“.

Włodzimierz Korsak, chlubnie znany autor „Roku myśliwego“ i „Na tropie przyrody“ jest również świetnym artystą-malarzem.

Wyjaśnienie, nadesłane przez „Poleskie Towarzystwo Myśliwskie“.

W Nr. 16 „Głosu Poleskiego“ ukazał się artykuł w sprawie polowania w Iwacewiczach, urządzonego przez Poleskie T-wo Myśliwskie. Ponieważ artykuł ten zawiera poważny zarzut pod adresem Towarzystwa, a mianowicie zabicie 3 rogaczy w czasie ochronnym, zwróciliśmy się do Zarządu Poleskiego T-wa Myśliwskiego z prośbą o wyjaśnienie. Poleskie T-wo Myśl. nadsyła nam następujące wyjaśnienie:

„Zgodnie z rozporządzeniem Ministra Rolnictwa i Dóbr Państwowych w przedmiocie ustanowienia terminów ochronnych dla zwierzyny na terytorjum województw: Białostockiego, Kieleckiego, Lubelskiego, Łódzkiego i Warszawskiego, na podstawie art. 17 Dekretu Rady Regencyjnej z dnia 3 stycznia 1918 r. D. P. Nr. 1, termin ochrony rogaczy (kozłów) ustanowiono od 18/I do 30/IV włącznie. (Dziennik Ustaw Nr. 63 z dn. 28.7.20 poz. 422).

W pozostałych częściach Rzeczypospolitej za wyjątkiem Małopolski i b. zaboru niemieckiego obowiązują: Przepisy o polowaniu w Guberniach Królestwa Polskiego z 1871 r. (ustawa rosyjska). § 16 tych przepisów głosi: na samce — sarny wolno polować przez cały rok pojedyńczo lub z obławą.

Z punktu widzenia prawnego Kółko Poleskie postąpiło więc legalnie, gdyż Polesie podlega b. rosyjskiemu prawu.

Polowanie pod Iwacewiczami w puszczy Wiadotupickiej odbywa się na obszarach dostępnych tylko zimą: w tym roku dopiero po dn. 20 lutego można tam było zapolować. Jestto drugim motywem zabicia 3 rogaczy, do których inaczej nie można byłoby wogóle strzelać“.

Nieporozumienie.

Odpowiedź Redakcji „Przeglądu Myśliwskiego“ do pana hr. Morstina w Nr. 4 naszego pisma wywołała pewne nieporozumienie, które pośpieszamy wyjaśnić.

Mówiąc, iż wina niedostatecznie ostro prowadzonej walki z kłusownictwem obciąża raczej nasze stowarzyszenia łowieckie niż Rząd, nie mieliśmy oczywiście na myśli działalności wielkich Towarzystw łowieckich, których olbrzymie zasługi na tem polu bardzo dobrze znamy i oceniamy.

Z drugiej strony zaś nie stawaliśmy w obronie wszystkich władz, którym ochrona zwierzyny winna leżeć na sercu. Stwierdzić jedynie pragnęliśmy dobrą wolę władz centralnych. Szczęśliwi czuć się będziemy, gdy z czasem napisać będziemy mogli o zrozumieniu spraw łowieckich przez wszystkie urzędy na obszarze Rzeczypospolitej. Niestety, obecnie chwila ta jeszcze nie nadeszła.

Ze związku polskich związków sportowych.

W sobotę i niedzielę 7 i 8 kwietnia odbędzie się w Warszawie z inicjatywy Z. Z. pierwszy Kongres Sportowy, przy udziale delegatów związków i towarzystw Sportowych z całego państwa. Kongres połączony z wystawą sportową obradować będzie w sali W. T. W. przy ul. Foksal Nr. 18, udzielonej bezinteresownie przez zarząd towarzystwa. Program i porządek dzienny Kongresu podany będzie do wiadomości w najbliższej przyszłości.

Polski Związek Myśliwych w Poznaniu, organizacja reprezentująca 36 towarzystw myśliwskich z całej Polski, zgłosił przystąpienie do Z. Z. Komitet wykonawczy przedkłada sprawę na najbliższe posiedzenie pełnego zarządu w dniu 18 marca r. b. z wnioskiem o przyjęcie Pol. Związku Myśliwych w charakterze członka zwyczajnego Z. Z.

Rozstrzygnięcie konkursu łowieckiego.

„Polskie Tow. Łowieckie w Warszawie ogłosiło swego czasu konkurs na broszurę p. t. „Dochód ze zwierzyny dla gospodarstwa“, przeznaczoną dla włościan. Sąd konkursowy złożony z pp. St. Lilpopa, Wł. Rabskiego, Wł. Słonczyńskiego, Ant. Wysockiego i D-ra St. Zaborowskiego, przyznał tylko drugą nagrodę pracy p. Wiktora Stephana, inspektora lasów z Chojnowa pod Piasecznem.

Rozmaitości.

Z powodu wykopalisk luksorskich.

Dzienniki angielskie przytaczają z pamiętników sir Williama Francis Butler'a następującą nadzwyczajną historję: Jeden z wojennych korespondentów angielskich w Egipcie oddawał się modnemu swego czasu poszukiwaniu mumij. Udało mu się istotnie posiąść pierwszorzędny egzemplarz, w pełnym stroju, który opakował dobrze i wysłał do Anglji. Sam udał się do kraju Somali na polowanie, gdzie został zabity przez słonia i pochowany na wyspie na jednej z rzek. Gdy przyjaciele jego chcieli zabrać zwłoki do Anglji, okazało się, że powódź zmyła doszczętnie wyspę. Tymczasem w Londynie egiptolodzy odczytali napis na papyrusie, który znajdował się przy mumji. Napis brzmiał: „Oby opuścili go bogowie. Oby dzikie zwierzęta zniszczyły życie jego na ziemi, a po jego śmierci fale mściwej rzeki zmyły jego kości, a proch jego rozsypały wiatry nieba".

Walka z olbrzymim tygrysem w lasach południowo-afrykańskich.

Niezwykłą przygodę na polowaniu opisuje w czasopiśmie „S-ty Hubert" jeden z zapalonych myśliwych, który przed wojną przebywał w południowej Afryce i wraz z jednym ze swych towarzyszy uprawiał sport zastawiania samotrzasków na hjeny i tygrysy. Obaj myśliwi używali do pomocy silnego psa kafrów, który codzień na zwiady biegł pod te sidła. Z jego zachowania się mogli myśliwi osądzić o rezultacie zasadzki.

Pewnego dnia pies-myśliwy powrócił wśród charakterystycznego naszczekiwania i podniecenia. Myśliwi chwycili zatem w dłonie swe sztućce i zaczęli postępować za psem, który zdala jeszcze od zastawionych sideł począł wyć w niesłychany sposób.

Zastawionych łapek na miejscu nie znaleziono. Ale pies z niezwykłą zażartością biegał dokoła zarośli, w środku których stało kilka drzew w gęstem listowiu. Ponieważ wszystkie łapki na dzikie zwierzęta znajdowały się zdala od tego miejsca, myśliwi nie mogli zrozumieć zachowania się psa. Zbliżyli się zatem do zarośli wśród największych ostrożności, ale nic nie znaleźli w tem miejscu.

„Już chcieliśmy się oddalić" opowiada jeden z uczestników, gdy nagle usłyszeliśmy u szczytu drzewa jakiś straszny trzask wraz z dźwiękiem łańcuchów i zanim zdołaliśmy się jednem słowem porozumieć, coś potwornego zleciało z drzewa wprost na głowę mego towarzysza. Byłby on niechybnie zgubionym, bowiem ciężar klatki był tego rodzaju, iż byłby go roztrzaskał, gdyby nie niezwykły przypadek, który możnaby wprost nazwać cudem.

Oto schwytany w sieci tygrys, —jakkolwiek brzmiałoby to nie do wiary,—wpleciony w łańcuchy samotrzasku, mimo ciężaru całej maszynerji, wdrapał się na drzewo i stamtąd jednym susem rzucił się na swego prześladowcę. Ale w tym momencie łańcuch, opasujący cielsko tygrysa, zaczepił się o gruby konar drzewa, a zwierzę zawisło na drugiej części łańcucha, jak miecz Damoklesa nad głową przerażonego myśliwego.

Ten przez chwilę osłupiał i z najokropniejszym przestrachem spoglądał na ten niezwykły obraz. Oszalały z bólu i wściekłości tygrys wydawał z siebie dziwne dźwięki: mruczał, to znów przeraźliwie wył,—zwłaszcza w chwili, gdy pies krążący po ziemi, skakał w powietrze i zębami chwytał za tygrysią skórę. Tygrys porwał się ku górze i usiłował znów wdrapać się na drzewo, lecz osunąwszy się, opadł na łańcuchu w dół ku ziemi. Wówczas jeden z myśliwych, który już tymczasem przyszedł do siebie, korzystając z chwili, gdy zwierzę wisiało, strzelił z rewolweru w ucho tygrysa. Jeszcze parę drgań cielska olbrzyma, poczem wspaniały okaz drapieżnika wisiał martwy na drzewie.

Szał niszczenia lasów.

W „Gazecie Podhalańskiej" czytamy: „Literalnie całe Podhale ogałaca się z lasów. W Tatrach tną, w Pieninach tną, na Gorcach tną, a na wszystkich drogach, prowadzących do stacyj kolejowych, cały dzień boży widzi się tylko zaprzęgi i zaprzęgi z drzewem. Najmniejsza stacyjka na Podhalu dzisiaj jest zawalona drzewem, czekającem na wywóz. Wycinają obszarnicy, wycinają spółki lasowe w gminach, wycinają małorolni. Zagnieździł się kornik, który niszczy zupełnie nasze lasy. Kornik ten przechadza się po gościńcu, prowadzącym do miasta, z korkociągami za uszyma, a miarą pod pachą. Przyskoczy do każdej fury, pomierzy, odeśle i znowu, jak pająk, czyha na następną. W niedługim czasie Gorce zaczną świecić smutną i przerażającą pustką, nie dającą się już zalesić, jak świadczą o tem znane „polany waksmundzkie", gdzie od dziesiątek lat już widzimy nędzne wrzosy i jałowce. Ustawa o zalesieniu nie wystarczy. Kaucję, jaką składa wyrąbujący, jako gwarancję zalesienia, może każdy podarować wobec uzyskanej ceny ze sprzedaży i spadku ciągłego waluty. Jeden z handlarzy nowotarskich wyraził się nawet dowcipnie, że „ustawa jedzie na papierze, a drzewo na osiach".

Czy nikt w tę sprawę nie wejrzy póki pora?

Druk. Spółka Wydawnicza Powszechna, Szpitalna Nr. 1.